

JANUSZ MAJEWSKI



CZARNY MERCEDES

KAŻDY MA COŚ DO UKRYCIA

MARGINESY

1.

Początek października 1941 roku. Rozpoczął się trzeci rok niemieckiej okupacji Warszawy. Z solidnej bramy jednej z kamienic przy Marszałkowskiej wyszedł zaaferowany mężczyzna z naręczem skoroszytów i tekturowych teczek. Pośpiesznym krokiem skierował się do czekającej na niego rikszy. Jakiś wyrostek, który ścigał ruszający z pobliskiego przystanku tramwaj, potracił go, mężczyzna zachwiał się, piramida skoroszytów runęła na chodnik. Chłopakowi udało się wskoczyć do tramwaju. Nawet nie zauważył, co się stało. Mężczyzna przykucnął i zaczął zbierać papiery. Przechodzący obok elegancki oficer SS pochylił się, aby mu pomóc. Mężczyzna spojrzął na niego zdumiony.

– *Aber doch...**

– *O?! Sind Sie Deutscher?***

– *Nein. Ich bin Pole.* Jestem Polakiem.

– Z tak dobrym niemieckim?

– Cóż, zdarza się... Ale dziękuję, dam sobie radę...

* (niem.) Ależ proszę...

** (niem.) O! Jest pan Niemcem?

Rikszarz, młody bystry chłopak, podskoczył i zaczął sprawnie zbierać skoroszyty. Oficer SS się uśmiechnął.

– Nie dziwię się reakcji pana, też byłbym zaskoczony, co więcej: jestem zaskoczony swoim odruchem. Okazuje się, że odruchy są nie do opanowania!

– Słusznie. Wszelkie odruchy: dobre i złe.

– To kwestia wychowania. I charakteru. Mój dziadek odruchowo zawsze zwracał się do służby bardzo uprzejmie i chyba również odruchowo do mojej babki zawsze z poirytowaniem.

– Pan jednak otrzymał staranne wychowanie i kierował się odruchem wpojonym w dzieciństwie, chociaż zapewne wbrew regulaminowi... – odpowiedział mężczyzna uprzejmie, ale z lekką nutką ironii.

Oficer roześmiał się.

– Ma pan rację. Mój szofer, który tam czeka, na pewno jest zgorszony. Regulaminowo! – Wskazał gestem na stojące przy krawężniku auto: czarny kabriolet marki Mercedes, duma niemieckiego przemysłu samochodowego.

– Tym bardziej panu dziękuję.

– Doprawdy nie ma za co! Ale, wybaczy pan, naprawdę jestem zaintrygowany pańskim akcentem. Mówi pan jak wiedeńczyk!

– Moja niania była wiedenką, ale naprawdę jestem Polakiem, chociaż nazywam się Holzer. Jestem adwokatem, tu mam kancelarię... – Spojrzał na mosiężną tablicę przy bramie: „Kancelaria adwokacka – Karol Holzer”.

Oficer skłonił się i dotknął daszka w nieformalnym, ale wytwornym salucie.

– Maximilian Graf von Fleckenstein – przedstawił się.

– Miło mi pana poznać! A teraz jeszcze słyszę w pańskim świetnym niemieckim także saksońskie nuty...

– Widzę, że jest pan lingwistą albo ma pan słuch muzyczny: faktycznie, mój prapradziadek Theodor Christian Holzer był drezdeńczykiem.

– A więc jednak jest pan Niemcem!

– Nie, panie hrabio, od pięciu pokoleń jestem Polakiem.

2.

Stał w sieni i przez szybkę w kutej bramie wpatrywał się w przeciwny chodnik i skaczące po nim bąble majowego deszczu, które już po chwili zamieniały się w brudne, mętne kałuże, bo woda obmywała pień lipy i zabierała jej trochę ziemi spod zdeptanej trawy. Pet ze złotym paskiem po papierosie Salem Gold wpływał właśnie do kałuży jak do portu, z dumą i arogancją krążownika Kriegsmarine otoczonego gromadą kutrów i holowników – petami pospolitych marek: Haudegen i Juno. Niemiecka kultura! Salem Gold! Kto pali tak drogie papierosy?! Niemieccy oficerowie. I niemiecki oficer rzuca peta na chodnik?! A może to właśnie ON go rzucił? Może więc jest już u niej i moje czyhanie jest bez sensu? Jeżeli już tam siedzi (leży!), to nie wyjdzie przed godziną policyjną. Zresztą, jak deszcz ustanie i tak będę musiał stąd wyjść, bo zaraz mnie ktoś zauważy... Palce w kieszeni trenca nerwowo rozginały zawleczkę granatu, aż musiał je przywołać do porządku, bo w końcu ją złamię i będzie kłopot, jeśli go dziś nie użyje.

Poczuł, że strużka potu spływa mu po skroni i trafia do kącika oka, które zaczyna piec. Przetarł je szybko grzbietem kciuka i pomyślał, że poczeka jeszcze kwadrans i wycofa się. Wtedy właśnie podjechało czarne auto (jego ulubiona marka: Mercedes 320) – błysnęło wspomnienie naklejania na dyktę i wycinania laubzegą fotografii z prospektu reklamowego nowego modelu, przeboju 1938 roku) i zatrzymało się pod bramą naprzeciw. Kierowca wyskoczył, rozpostarł parasol i okrążył auto, aby usłudnie otworzyć drzwiczki wysokiemu, uderzając przystojnemu oficerowi SS, który bez pośpiechu wysiadał. Miał na sobie czarny skórzany płaszcz z epoletami, siodłowo wygiętą czapkę i nieskazitelnie błyszczące oficerki. Lewe oko przesłaniała czarna przepaska, która jeszcze dodawała mu stylu, sugerując, że jest pamiętką z frontu. Niósł elegancką czarną teczkę.

Podchorąży „Sęp” wyjął z kieszeni granat i wyszarpnął zawleczkę, upadła cicho na mozaikową posadzkę sieni. Zrobił krok na zewnątrz, aby zamachnąć się i rzucić, ale w tym momencie z bramy naprzeciw wybiegł kudłaty piesek, a zaraz za nim dziewczynka usiłująca go złapać. Podchorąży „Sęp” zawahał się, jego ręka zatrzymała się i opadła, szofer wymiął zręcznie dziewczynkę, cały czas trzymając parasol nad głową esesmana, i odprowadził go do bramy, która wchłonęła męczyznę w swą ciemną czeluść. W tej samej chwili deszcz przestał padać, szofer z niedowierzaniem spojrzął w niebo i złożył parasol, otrzepał go jednym mocnym wstrząśnięciem, wszedł do auta i odkręcił szybkę. Oparł się wygodnie i zapalił papierosa – widocznie kazano mu czekać.

Podchorąży „Sęp” cofnął się do bramy i zaczął szukać na podłodze zawleczki granatu, przykucnął i rozglądał się nerwowo po żółto-czarnej szachownicy płytek, ale tylko zakręciło mu się w głowie i niczego już nie widział.

– Szuka pan czegoś? – usłyszał nad sobą nieprzyjazny głos. Odwrócił głowę: zmrużone oczy grubej kobiety świdrowały go podejrzliwie.

– Upuściłem zapałkę – podniósł z podłogi zwęgloną resztkę – a tu tak czysto, u pani... – powiedział przymilnie, odgadując w niej dozorczynię kamienicy.

– No pewnie, a jak ma być! – prychnęła pogardliwie i wzruszyła ramionami kariatydy, cały czas nieufna i wroga, ale on już wychodził na ulicę. Ostentacyjnie niosąc spaloną zapałkę w uniesionej lewej ręce, prawą ścisnął kurczowo w kieszeni granat, aby łyżka nie odskoczyła: toby dopiero było, grubaska musiałaby go zeskrobywać z czarno–żółtych kafelków na kłęczkach, chyba żeby i ją szlag trafił!

Doniósł zapałkę do narożnika, upuścił ją, celując w kratkę kanału, ruszył szybkim krokiem w stronę Marszałkowskiej, ale zaraz zawrócił i Wilczą dotarł do Mokotowskiej, kierując się do placu Trzech Krzyży, gdzie miał szansę złapać riksę. Musiał się dostać do Stefana, na Żoliborz, on ma w piwnicy ich arsenał, a tam, w pudełku po cygarach, są zawleczeni. Przełożył szybko granat do lewej ręki, bo paradowanie z prawą w kieszeni mogło sprowokować jakiegoś policjanta lub gestapowca do zatrzymania go i wylegitymowania, a to by była katastrofa. Teraz nie mógł spojrzeć na zegarek, ale wiedział, że do godziny policyjnej zostały może trzy kwadransy – zaraz zresztą zobaczy zegar na gmachu Instytutu Głuchoniemych. Wyszedł zza rogu Mokotowskiej i spojrzął na zegar: 20.16! A więc tramwaje zjeżdżają już do zajezdni, a piechotą na plac Inwalidów przed dwudziestą pierwszą nie zdąży, jedyny ratunek w rikszy. Przeszedł na drugą stronę i rozejrzał się nerwowo, przejechała jedna, ale z pasażerem. Przeszedł szybko chodnikiem aż do rogu Książęcej, cały czas

odwracając głowę, by sprawdzić, czy nie najeżdża coś od strony Alej Ujazdowskich; granat w kieszeni coraz bardziej mu ciążył i uwierał, jakby pęczniał. Wydawało mu się, że palce zaczynają drętwieć i nie będzie już w stanie zaciskać ich na tej cholерnej gruszcze, na ananasku, jak go czule nazywał Stefan, ale przecież musi. Stał nad kratką kanalizacyjną: gdyby miał jakiś łom, podważyłby kratę i wrzuciłby granat do kanału, gdyby tam eksplodował, wytlukłby najwyżej trochę szczurów, bo przecież nie wysadziłby bruku w powietrze, ale przecież nie miał żadnego łomu, gdyby miał, obie ręce byłyby zajęte, jeszcze tego brakowało! Spocił się cały i co chwilę ocierał czoło, bo pot zalewał mu oczy. Jakaś kobieta minęła go i obrzuciła zaniepokojonym spojrzeniem. Domyśliła się czegoś?! Raczej wzięła go za chorego, a może za pijanego? Ku swemu zdumieniu nawet zatoczył się jak na zamówienie. Czyżby miał gorączkę?

Nagle, niemal w ostatniej chwili zobaczył riksę skręcającą z Nowego Świata w Książęcą, jadącą prosto na niego, pustą! Minęła go i już zaczęła rozpędzać się po stromiznie ulicy, ale krzyknął:

– Stój!

Rikszarz, piegowaty wyrostek, zahamował, aż go zarzuciło. „Sęp” podbiegł do niego i zapytał:

– Pojedziesz na Żoliborz?

– Teraz?! Nie zdążę wrócić przed szperą.

– A gdzie jedziesz?

– Na Powiśle, na Solec.

– Dobra, jadę z tobą!

Wgramolił się na siedzenie jak inwalida – ta ręka w kieszeni utrudniała ruchy, a może bardziej paraliżowała umysł i wtrącała w nieoczekiwaną nieporadność; aż go to zdziwiło.

Gdzie podziała się zimna krew, spokój, opanowanie, wojskowe wyszkolenie i dyscyplina? Zdumiony wytrzeszczył oczy z przerażenia, ale natychmiast otrząsnął się i zrugał w duchu od mięczaków.

Rikszarz nacisnął na pedały i pomknęli w dół, nabierając niebezpiecznej szybkości.

– Nie za szybko? – rzucił przez ramię, wyobrażając sobie, że gdyby się przewrócili, nie zdołałby utrzymać granatu.

– Spokojnie – odparł flegmatycznie piegus – codziennie tędy jeżdżę – ale jednak zwolnił trochę. – To gdzie zawieźć? – zapytał.

– Jedź, dopóki nie powiem: czyś ty oszalał! – odpowiedział wisielczym dowcipem, ale rikszarz go nie chwycił, wzruszył tylko ramionami i przyspieszył. „Sęp” zaczął gorączkowo obmyślać plan dotarcia do domu albo jakiegoś innego bezpiecznego miejsca, gdzie mógłby zabezpieczyć granat. Przede wszystkim zdecydował się przełożyć go do drugiej ręki, bo ta ścierpła mu już zupełnie, aż nie był pewien, czy jeszcze trzyma. Nakrył połą trencza lewą kieszeń i ostrożnie wyjął rękę, przełożył pod płaszczem granat do prawej ręki i wsunął ją szybko do prawej kieszeni, jednocześnie wyprostował w górę lewą rękę i powiedział do chłopca:

– Widzisz zegarek?

– Widzę.

– Która jest godzina?

– Za pięć pół do dziewiątej.

– Słuchaj, mam propozycję: mieszkasz na Solcu, tak?

– Tak.

– Podjedźmy pod twój dom i zobaczymy, która będzie godzina. Powiedzmy pół do dziewiątej. Pojedziemy w stronę Żoliborza piętnaście minut i wtedy wysiądę, jakoś dotrę pie-

chotą, a ty będziesz miał drugie piętnaście minut, aby wrócić do domu przed szperą.

Piegus skrzywił się.

– Nie mogę.

– Dlaczego? Dobrze ci zapłacę.

– Nie mogę, wiozę chleb dla matki, nie jadła nic od rana, leży chora...

– Pół godziny jej nie zbawi, a przywieziesz do domu dużo szmalu...

Chłopak nagle zahamował i zatrzymał się przy krawężniku.

– Dobra, ale pięć dych i jadę od tej chwili dziesięć minut w pańską stronę, wtedy pan wysiada.

– Zgoda, ale jedź szybko.

Chłopak skinął głową i nacisnął mocno pedały, skręcił w lewo i pomknął w stronę Tamki. „Sęp” tymczasem pośpiesznie kalkulował, dokąd mogą w tym tempie dotrzeć. Jeśli dowiezie go do Cytadeli, ukryje się w krzakach i w nocy może uda mu się przekraść na drugą stronę. Ale tam są wartownicy, mogą go zauważyć. Wtedy zaryzykuje i rzuci w nich granatem. Nie, za to by miał dyscyplinarkę, to by była samowolna akcja o nieprzewidzianych skutkach, Niemcy w odwecie rozstrzelaliby kolejnych zakładników, to nie wchodzi w rachubę. A może kazać chłopcu wjechać na most i na środku wrzucić granat do wody? Od razu zobaczył ławicę ogłuszonych ryb, która wypłynęłaby na powierzchnię, i gromadę dzieci, która rzuca się, by je złowić. Dzieci? W nocy po godzinie policyjnej? Bzdura, nie tylko ze względu na konsekwencje, ale co dalej? Na środku mostu byłiby jak zając pędzący wprost na tyralierę myśliwych.

Przecięli Tamkę i pędzili ulicą Topiel w stronę mostu Kierbedzia, kiedy „Sępa” olśniło.

– Zatrzymaj się!

Piegus zahamował przy krawężniku.

– Zmiana planów, pojedź pod szóstkę.

Rikszarz posłusznie zawrócił i pojechał kilkanaście metrów, po czym zatrzymał się pod bramą z numerem 6.

– Tu wysiadam. To w takim razie: ile?

– Jak było umówione...

„Sęp” popatrzył na piegusa spode łba, lewą ręką wyciągnął portmonetkę z kieszeni spodni i podał ją chłopcu.

– Weź, ile chcesz.

Musiał tak zrobić, bo nie wyciągnąłby jedną ręką banknotu z ciasnej przegródki, ale wyglądało to tak, jakby wystawiał chłopca na próbę uczciwości; ten jednak wcale się tym nie przejął, spokojnie wyjął banknoty, wyłuskał szaroniebieski, pięćdziesięciozłotowy i oddał portmonetkę klientowi. „Sęp” wysiadł, już trochę sprawniej, skinął głową chłopcu i wszedł do bramy, a potem na ciasne podwórze ze wszystkich stron obudowane oficynami. Kamienica szumiała jak ul, a może raczej jak gniazdo os, bo słyszało się głównie podenerwowane głosy kobiet i wrzaski dzieci, po wieczornej ulewie wszędzie pootwierano okna.

– Pan do kogo? – Jakiś facet wychylił się przez okno suteryny.

– Szukam Dziadka. To znaczy pana Dziadkiewicza. Mieszka tu jeszcze?

– Niestety, mieszka. Tamta klatka – pokazał ruchem głowy – na parterze.

„Sęp” poszedł we wskazanym kierunku.

– Po prawej stronie! – krzyknął za nim facet.

„Sęp” wszedł na ciemne schody i pokonał trzy czy cztery, żeby znaleźć się na podeście. Namacał przycisk dzwonka na

framudze drzwi i nacisnął: coś zachrobotać cicho, nacisnął drugi raz i przytrzymał dłużej: dzwonek zacharczał i zadławił się, w środku panowała cisza. Zapukał kilka razy lekko i niemrawo, bo lewa ręka wciąż była odrętwiała, ale nie dało to rezultatu. Zrezygnowany wyszedł na podwórze, facet z suteryny wychynął zza firanki i krzyknął:

– Panie, tam trzeba walić! Pewnie się spili!

Zawrócił, przełożył granat do lewej ręki i załomotał prawą pięścią, potężnie.

– Dziadek, otwieraj! – krzyknął rozszłoszczony.

Usłyszał człapiące kroki i drzwi uchyliły się. W świetle ledwo mżącej żarówki zobaczył wysokiego, chudego jak szkielec mężczyznę w kalesonach i brudnym podkoszulku. Patrzył na niego przez druciane okulary, grube jak denka kieliszków.

– Pan do mnie? – odezwał się.

– Tak, do ciebie! Dziadek, nie poznajesz mnie?

– Nie. Pan mnie zna?

– Pracowałeś w banku, u mojego ojca, dyrektora Sawickiego, przychodziłeś do nas, do domu, jak się coś zepsuło. Raz rower mi naprawiłeś, nie pamiętasz, na Lisa-Kuli?

– A, panicz Jędrak, teraz poznaję. Tu ciemno i pan tak wyrósł... Proszę wejść...

Młody mężczyzna przestał w tej chwili być podchorążym „Sępem” i odzyskał swoje imię, którym ochrzczono go dziewiętnaście lat temu w kościele pokamedulskim na Bielanach. Odzyskał też jednocześnie węch, bo dopiero teraz poczuł silny zapach przetrawionego alkoholu, który wydobywał się z ust gospodarza z każdym wymówionym przez niego słowem:

– Czym mogę panu służyć, paniczu? Zepsuło się coś?

– Nie nazywaj mnie paniczem, mów mi Jędrak. Czy możemy porozmawiać na osobności?

Dziadkiewicz popatrzył zaniepokojony, ale otworzył szerzej drzwi i wpuścił gościa do środka. Przybysz rozejrzał się i zawahał.

– Jest jeszcze ktoś w domu?

– Śpią. Trochę żeśmy się napili. A co?

– Popatrz! – Jędrzek wyciągnął granat i podniósł go na wysokość oczu Dziadkiewicza.

– Matko Boska! – wyszeptał stary. – Co chcesz z tym zrobić, Jędrus?

– Zgubiłem zawleczkę, nie mogę wypuścić go z ręki.

Dziadkiewicz uspokoił się, ruszył w stronę otwartych drzwi kuchni i zapalił w niej światło. Odsunął krzesło od stołu.

– Siadaj, spokojnie.

Jędrzek usiadł, Dziadkiewicz wysunął szufladę stołu i pogrzebał w szpargałach, znalazł tam kłębek drutu. Odciał cążkami mały kawałek, odłożył na stół i wytarł dłonie o podkoszulek.

– Daj.

Jędrzek popatrzył na niego z niepokojem, zauważył, że trzęsą mu się ręce.

– Nie. Ja będę trzymał, a ty włóż drut w uszka.

– Tak się nie da. Widziałeś kiedy, żeby dwie osoby nawlekały igłę? Nie da rady, nie bój, daj.

Jędrzek podał mu granat, Dziadkiewicz ujął go lewą dłonią i opasał długimi, chudymi palcami jak szponami drapieżnego ptaka, prawą sięgnął po drut i jednym ruchem umieścił go w uszkach łyżki. Zagiął drut jak zawleczkę, po czym spokojnie wykręcił zapalnik z „gruszki”. Wystarczyło kilkanaście sekund i sprawa została załatwiona.

– Byłeś w wojsku? – zapytał Jędrzek z podziwem.

– W wojsku? – Dziadkiewicz parsknął śmiechem.
– Czy ja wyglądam na frajera? Zresztą, kiedy byłem w wieku poborowym, nie było polskiego wojska, byli kozacy, była lejbgwardia, byli carscy kadeci. Miałem być kadetem? Może kozakiem? Były lepsze zajęcia na bezkresnych obszarach carskiego imperium. Przecież wiesz, czym się trudniłem przez kilkanaście lat?

– Ojciec mówił, że jesteś konserwatorem kas.

Dziadkiewicz uśmiechnął się.

– Faktycznie, byłem. Byłem dzięki twemu ojcu. Zaufał mi i dał mi tę posiadłość. Bo twój ojciec i ja byliśmy jak bracia syjamscy, robiliśmy to samo, zabieraliśmy Ruskim dzieńgi. Tylko on z Piłsudskim, na przykład w Bezdanych, na siłę, a ja moimi delikatnymi rączkami wyciągałem je z kas banków w Petersburgu, Moskwie, Taganrogu, w Kijowie i Odessie, tak, nawet w Odessie żydowski bank Silbermana obrobiłem na pół miliona rubli.

– Pół miliona rubli?! I tak mieszkasz? Coś ty z nimi zrobił?

– Przeszastałem, przepiłem, przegrałem. Żyłem. Daj spokój, to było dawno...

Dziadkiewicz wzdrygnął się jakby pod podmuchem chłodu.

– Poczekaj, włóż coś na siebie.

– Nie, muszę lecieć, szpera!

– Jak ty chcesz zdążyć na Żoliborz przed szperą? Masz auto?

– Skąd. Chevroleta nam zabrali Ruscy w Zaleszczykach, ojciec zwlekał, Niemcy byli jeszcze daleko, nikt nie przewidział, że Sowietnicy wbiją nam nóż w plecy...

– Poczekaj. Widział cię ktoś, jak do mnie szedłeś?

– Tak, jakiś facet z suteryny. Pokazał mi, gdzie mieszkaś, i kazał walić mocno w drzwi.

– Skurwysyn! To niedobrze, to kapuś. Musisz wyjść ode mnie. Narób hałasu, żeby cię zobaczył, ale wyjdź na ulicę, wejdź do sąsiedniej kamienicy i poczekaj w bramie, przyjdę tam po ciebie. Tylko niech zobaczy, że wychodzisz...

– Może upuszczę granat? – Jędrak uśmiechnął się szyderczo i wyszedł z mieszkania.

Facet już czekał w oknie.

– Dostukałeś się pan?

– Tak, otworzył. Dałem mu noże do naostrzenia. Od maszynki. Do mięsa.

Facet zmierzył go zdumionym spojrzeniem.

– To takie pilne? Za chwilę szpera.

– Mieszkam na Tamce, drugi dom od rogu.

– A, to co innego... – Facet stracił zainteresowanie.

– Do widzenia, dzięki! – Jędrak nonszalanckim krokiem ruszył na pustą już ulicę i bez wahania wszedł do sąsiedniej bramy. Było cicho, jakby kamienica już spała – inaczej niż w sąsiedztwie. Pewnie mieszkają tu lepsze sfery – wytłumaczył sobie Jędrak – sam wygląd klatki schodowej o tym świadczył: marmury, lśniące klamki, winda. Właśnie szcęknęła i oświetlona mahoniowa kabina z kryształowymi szybami ruszyła w górę, opuszczając swoją błyszczącą mosiądzem klatkę. Jędrak usunął się za załom muru, w cień, i czekał na rozwój wypadków. Winda zatrzymała się, zadźwięczała odsuwana krata, ktoś wsiadł i ruszył w dół. Jędrak najpierw zobaczył buty, piechocińskie saperki, potem spodnie ze stalowego sukna, pas i mundurową kurtkę Wehrmachtu, a na końcu furazerkę na ryżej głowie. Młody, przysadzisty żołnierz wyszedł z windy, zatrzasnął za sobą kute drzwi klatki i stanął.

Jędrak wstrzymał oddech i zmrużył oczy. Pomyślał, że jego gałki oczne mogą odbić jakieś światło, rozjarzyć się w ciemnościach jak oczy wilka zaczajonego w lesie; rozważał, jakim chwytem obezwładnić Niemca, jeśli ten go odkryje. Żołnierz stał chwilę nieruchomo, zamyślony, jakby nieobecny, potem westchnął, pokręcił głową ze zmartwienia, poprawił furazerkę i tupiąc głośno podkutymi żelazem butami, ruszył do wyjścia. Zatrzasnęła się brama i w tej samej chwili, jakby na to czekał, Dziadkiewicz otworzył drzwi piwnicy.

– Jesteś? – zawołał szeptem.

Jędrak zobaczył, że stoi na szczycie kilkunastu schodów prowadzących w dół, do podziemia, teraz oświetlonych słabym światłem padającym z głębi piwnicznego korytarza. Zbiegł po nich szybko, wszedł do środka. Dziadkiewicz cicho zamknął za nim drzwi, przekręcił i wyjął klucz z zamka.

– Ten kapuś widział, że wychodzisz?

– Tak, rozmawialiśmy...

– Pytał, po co przyszedłeś?

– Powiedziałem, że przyniosłem noże od maszynki do naostrzenia. Dziwił się, że tuż przed szperą. Powiedziałem, że mieszkam tuż-tuż, na Tamce.

– Uwierzył?

– Chyba tak.

– Dziwne. Ja bym nie uwierzył. Tu wszyscy się znają... Z widzenia.

Jędrak wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Wyglądało tak, jakby mi uwierzył...

Doszli do końca wąskiego korytarza, minawszy rząd komórek zamkniętych drewnianymi ażurowymi drzwiami, za którymi widać było składowane przedmioty: rowery, wózki dzieciinne, jakieś beczki, hałdy węgla i ziemniaków. Suche,

pełne kurzu powietrze kręciło w nosie. Weszli do ostatniej komórki: w ścianie wybity był otwór wielkości wąskich drzwi prowadzący do sąsiedniego domu.

– Wybiliśmy to w czasie oblężenia w trzydziestym dniu. Chcieliśmy już to zamurować, ale nie ma cementu, murarza... Tymczasem jak widać jeszcze się przydaje...

– Co teraz? – zapytał Jędrak.

– Przenocujesz u mnie, a rano wrócisz do domu. Tędy, żeby ten skurwysyn cię nie zobaczył.

– Moja matka oszaleje z niepokoju.

– Trudno.

3.

Służąca Cesia z nabożeństwem powiesiła płaszcz i czapkę na wieszaku, Sturmbannführer Maximilian Graf von Fleckenstein z zadowoleniem przejrzał się w ogromnym kryształowym lustrze w złotych ramach, które nie tylko ozdabiało, ale i powiększało optycznie i tak obszerny wytworny hol w mieszkaniu adwokata Karola Holzera przy ulicy Kruczej w Warszawie. Poprawił włosy, zabrał teczkę i wszedł przez otwarte drzwi do salonu umeblowanego ze smakiem w stylu art déco. Bezceremonialnie usiadł w jednym z foteli i z fasonem założył nogę na nogę. Otworzyły się drzwi i z gabinetu wyszedł z uśmiechem szczupły trzydziestoparolatek, wyciągając ręce na powitanie.

– Maxi, wróciłeś!

Uściskali się serdecznie.

– Tak, wróciłem przed chwilą i tak się do was śpieszyłem, że zrezygnowałem ze wstąpienia do domu, aby się przebrać w garnitur. Znowu wasi sąsiedzi będą uważać was za kolaborantów!

– Niech sobie uważają, to ma także dobre strony.

Maximilian uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Dobre strony? Co masz na myśli?

– To odstrasza naszego dozorcę, przestał nas nachodzić. Szmalcownik, uważa nas za Żydów.

– Dlaczego?

– Z powodu nazwiska. Według niego jest żydowskie.

– Opowiadał mi kiedyś kolega z Berlina, że gdy aresztowano arcyksięcia Habsburga z waszego Żywca, bo się upierał, że jest Polakiem i odmówił przyjęcia obywatelstwa Rzeszy, jakiś tuman podoficer, który go eskortował do więzienia w Spandau, usłyszawszy jego nazwisko, stwierdził, że jest ono żydowskie. Dobrze, co?! A gdzież jest nasza kochana Krystyna?!

– Usłyszała, że przyszedłeś, i pewnie pudruje nosk...

– Nie pudruje, nie pudruje, nie musi! – Rudawa szatynka z fryzurą à la Zarah Leander weszła do salonu energicznym krokiem, demonstrując swoją wspaniałą figurę i długie nogi. Obaj mężczyźni popatrzyli na nią z zachwytem. Krystyna nastawiła Maximilianowi policzek do ucałowania.

– Kawa? Herbata? Upiekłam pyszne ciasto...

– Nic, dziękuję. Muszę zaraz uciekać, mam jeszcze o dziewiątej jakąś naradę na Szucha, ale chciałem wam podrzucić parę drobiazgów...

Otworzył teczkę i zaczął wyciągać.

– Kawior, kawa brazylijska, kawałek Sachertorte...

– Wstąpiłeś do Sachera! Czy nadal roi się tam od pięknych dam? – zapytał Karol. Krystyna posłała mu żartobliwie zgorzone spojrzenie.

– Są ich tłumy, wiesz, mężowie na froncie... Ale Wiedeń zawsze beztroski, w kawiarniach wieczorami grają Straussa. No i ten ich miękki akcent. Co chwilę wydawało mi się, że ciebie słyszę, Karolu.

– To dziwne: urodziłem się w Poznaniu, w domu, ze względu na babkę, mówiło się po niemiecku, studiowałem w Berlinie, a akcent mam wiedeński. To wszystko przez pierwszą nianię, która była wiedeńką. Wychowywała mnie do siódmego roku życia, przypuszczalnie byłem w niej zakochany, jak wszyscy chłopcy w swoich nianiach...

Uśmiech na twarzy Maximiliana zgasł na chwilę, ale nikt tego nie zauważył, bo mężczyzna pochylił się nad teczką i wyciągnął z niej butelkę koniaku.

– Martell?! – krzyknął radośnie Karol.

– Cordon bleu! – Maximilian roześmiał się triumfalnie.

– Widzę, że w tym Wiedniu to sobie żyją... – wtrąciła Krystyna.

– Wcale nie. W sklepach sam erzac, czarny rynek pewnie jest, ale mnie głupio by było go szukać. Na szczęście sam mnie znalazł. Jakiś gość zostawił mi paczkę z bilecikami w hotelu, a potem zadzwonił i powiedział, że nasz wspólny przyjaciel, który mi coś zawdzięcza, polecił mi to wręczyć, i że się odezwie... Co miałem zrobić, przywoziłem!

– W takim razie zrobimy sobie kolację. Kiedy przyjdiesz?

– Zatelefonuję jutro, gdy już będę znał swoje obowiązki, a teraz czas na mnie...

Ucałował szarmancko dłoń Krystyny, uściskał Karola i ruszył do holu. Przed drzwiami zatrzymał się, odwrócił, stanął na baczość wyprężony jak struna, wyrzucił przed siebie rękę w hitlerowskim pozdrowieniu i wykrzyknął:

– *Heil martell!*

Roześmiali się wszyscy, ale szybko stłumili śmiech, bo weszła służąca i pomogła Maximilianowi włożyć płaszcz. Patrzyli, jak się zapina, jak wkłada czapkę i z uśmiechem

wychodzi z mieszkania. Karol podszedł do okna i zobaczył, że Max wsiada do oczekującego na niego czarnego mercedesa, który rusza wyludnioną już ulicą.

– Powinni przesunąć szperę na dziesiątą, wciąż jest jeszcze jasno... – powiedział.

– No, to już sąsiedzi się upewnili! – Krystyna nerwowo otworzyła szkatułkę z papierosami w gilzach. Wydobyła jeden i smukłymi palcami zagniotła ozdobnie ustnik. Karol szcęknął zapalniczką i podał ogień. Płomień odbił się w jej wielkich oczach. Zobaczył w nich strach.

To, że Janusz Majewski umie kręcić świetne kryminalne filmy, wiedziałem od zawsze. Teraz okazało się, że umie także pisać świetne kryminalne powieści. *Czarny mercedes* to książka, która aż się prosi, by przeniósł ją na ekran jakiś zdolny reżyser.
Na przykład JANUSZ MAJEWSKI.

JULIUSZ MACHULSKI

Zaskakujący obraz okupacji w Warszawie i Lwowie, jakiego nie przedstawił dotąd żaden pisarz, a na jego tle zbrodnia z namiętnej miłości. I fabuła poprowadzona znaną z ekranu ręką Mistrza. Czytając tę powieść, uświadomiłem sobie, jak niewiele jeszcze wiem o tamtych ponurych czasach i o ciemnej stronie ludzkiej natury.

WŁODZIMIERZ KOWALEWSKI

Jest rok 1941. Ginie młoda kobieta ukrywana przez mecenasa Karola Holzera. Sprawę ma rozwikłać nadkomisarz Rafał Król, funkcjonariusz policji granatowej, współpracującej z Niemcami, ale także zaprzysiężony żołnierz polskiego podziemia, wykonujący jego rozkazy. Równoległe dochodzenie prowadzi Kluge, radca kryminalny Kripo. Obaj uważają się za apolitycznych profesjonalistów, więc nawiązują nieformalną współpracę.

Zbrodnie, namiętność, tłumione instynkty, zakazane związki. Nielegalny handel nieruchomościami na rzecz głodującego getta, rozgrywki w niemieckich służbach. Tajemnica goni tajemnicę, w tle Warszawa i Lwów – i ich zaskakujące wojenne oblicza.

Getto z drogą restauracją, markowym szampanem
i śpiewającą Wierą Gran...

W nowym filmie Janusza Majewskiego zrealizowanym na podstawie książki gwiazdorska obsada: MARIA DĘBSKA, ARTUR ŻMIJEWSKI, ALEKSANDAR MILIĆEVIĆ, ANDRZEJ ZIELIŃSKI, BOGUSŁAW LINDA, SONIA BOHOSIEWICZ I ANDRZEJ SEWERYN.

FILM CZARNY MERCEDES W KINACH OD 4 PAŹDZIERNIKA 2019



cena 37,90 zł

w sprzedaży także

